Nr. 17. Warszawa, d. 1 Września 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

We wrześniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie i wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) września na klępy, łanie i kozy.

Lunacya we wrześniu.

Pierw. kw. d. 3 o g. 3 po poł.
Pełnia d. 10 o g. 6 rano.

Wschód i Zachód Słońca

we wrześniu.

Dnia	Wschód g.	Wschód m.	Zachód g.	Zachód m.
1	5	12	6	45
2	5	14	6	43
3	5	16	6	41
4	5	18	6	40
5	5	20	6	38
6	5	22	6	36
7	5	24	6	34
8	5	26	6	31
9	5	28	6	29
10	5	30	6	27
11	5	31	6	25
12	5	32	6	23
13	5	33	6	20
14	5	34	6	18
15	5	35	6	15

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 227.

Nr. 17.	Warszawa, d. 1 września 1908 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok X.

VI Warszawska Wystawa Psów.



„Moro“, ostrowłosy pies niemiecki, nagrodzony medalem srebrnym.
Własność p. Szostaka.

Towarzystwa myśliwskie.

Towarzystwa myśliwskie są poważnym czynnikiem rozwoju kulturalnego łowiectwa. Jednoczą one rozproszone, pojedyńcze siły, które działając gromadnie, ujęte w karby pewnego systemu i porządku, wywierają wpływ dodatni na całokształt myślistwa danej okolicy, a nawet całego kraju.

Z tego względu nie będzie pozbawiony interesu rzut oka, na rozwój tego rodzaju instytucyj u nas i w Cesarstwie.

Mamy właśnie przed sobą wydany świeżo przez Główny Zarząd urządzenia gruntów i rolnictwa „Spis Towarzystw myśliwskich“, ułożony przez departament rolnictwa, a obejmujący dane do 1 stycznia b. r. Spis ten opracował młodszy specyalista wydziału rolniczego W. M. Woroncow, pod ogólnym kierunkiem i redakcyą naczelnika wydziału departamentu rolnictwa, I. I. Mamontowa. Obejmuje on, naturalnie, tylko takie Towarzystwa, których ustawy zostały zatwierdzone w drodze urzędowej; o całej masie prywatnych Kółek myśliwskich nie znajdujemy w nim żadnej wzmianki.

Wogóle historya kooperatywy myśliwskiej w całem państwie nie sięga dalekiej przeszłości. Pierwsze stowarzyszenie myśliwskie powstaje w Rosyi dopiero w 1862 r. pod mianem Moskiewskiego Towarzystwa Myśliwskiego, które w jakiś czas potem otrzymało dodatek do swego miana, brzmiący „imienia Cesarza Aleksandra II“. Miało ono odrazu charakter lokalny i przy nim pozostało do chwili obecnej.

Następnie powstaje Towarzystwo o szerszym zakroju. W 1875 r. założonem zostało w Moskwie Cesarskie Towarzystwo rozmnażania zwierzyny łownej i prawidłowego myślistwa, z prawem zakładania oddziałów na prowincyi. Wkrótce też powstają oddziały tego Towarzystwa: w Woroneżu (1882 r.), Wołogdzie (1883 r.), Czycie, Warszawie i Kijowie (1888 r.) i t. d.

Wogóle jednak rozwój stowarzyszeń łowieckich postępował bardzo ospale. U nas zakładanie takich stowarzyszeń było niemożliwe z powodu trudności urzędowej natury, w Cesarstwie zaś brak jakichkolwiek przepisów, normujący prawa myśliwskie, stawał temu na przeszkodzie. Dopiero wydane dla Cesarstwa w 1892 r. prawo o polowaniu dało silny impuls ogółowi rosyjskich myśliwych do zrzeszania się. To też gdy do 1892 r. w całem państwie było stowarzyszeń myśliwskich, zaledwie 33 (łącznie z 7 oddziałami Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa), w d. 1 stycznia b. r. widzimy już tych Towarzystw 216. U nas powstają one jako oddziały prowincyonalne i zawsze za Najwyższem zezwoleniem.

Wszystkie te stowarzyszenia myśliwskie rozproszyły się po całem państwie, jak następuje:

w gub.	petersburskiej	jest ich	14	(7%)
„	moskiewskiej	„	10	(5%)
„	chersońskiej	„	8	(4%)
„	ekaterynosławskiej	„	7	(3½%)
„	liflandzkiej	„	7	(3½%)
„	permskiej	„	7	(3½%)
„	nowogrodzkiej	„	6	(3%)
„	taurydzkiej	„	6	(3%)
okr.	wojska dońskiego	„	5	(2½%)
w gub.	wołyńskiej	„	5	(2½%)
„	kijowskiej	„	5	(2½%)
„	ufimskiej	„	5	(2½%)
„	warszawskiej	„	4	(2%)
„	wiatskiej	„	4	(2%)
„	kazańskiej	„	4	(2%)
„	kurskiej	„	4	(2%)
„	orenburskiej	„	4	(2%)
„	orłowskiej	„	4	(2%)
„	samarskiej	„	4	(2%)
„	tambowskiej	„	4	(2%)
„	witebskiej	„	3	(2%)
„	włodzimierskiej	„	3	(1½%)
„	woronieżskiej	„	3	(1½%)
okr.	nadmorskim	„	3	(1½%)
w gub.	podolskiej	„	3	(1½%)
„	połtawskiej	„	3	(1½%)
„	pskowskiej	„	3	(1½%)
„	saratowskiej	„	3	(1½%)
„	symbirskiej	„	3	(1½%)
„	jarosławskiej	„	3	(1½%)
okr.	przymorskim	„	3	(1½%)
w gub.	tomskiej	„	3	(1½%)
„	archangielskiej	„	2	(1%)
„	kostromskiej	„	2	(1%)
„	kurlandzkiej	„	2	(1%)
„	lubelskiej	„	2	(1%)
„	mińskiej	„	2	(1%)
„	płockiej	„	2	(1%)

ZE WSPOMNIEŃ NIEZNAJOMEGO.

Dziś uroczysty wieczór wigilijny. Pod polską strzechą płoną wesołemi światełkami przystrojone choinki, jęczą cerkiewne dzwony w prawosławnej Rusi, cały świat chrześcijański cieszy się i raduje, tylko daleka, wśród lodowatych mórz samotnie rzucona wyspa, drzemie skuta lodową pokrywą; żaden głos, dźwięk najmniejszy nie mąci tej grobowej ciszy, spowijającej dziś te bezbrzeżne zamarzłe przestrzenie. Nawet trapiące te kraje, ustawiczne burze nie huczą tu dzisiaj, morze nie jęczy pod ich strasznym naporem, śpi spokojnie. Kraj to dziki, niegościnny, kraj zimy i wiecznej śmierci.

W tej surowej i bezludnej krainie, nad brzegiem mórz zamarzłych, pod ścianą z łomów granitowych leży kilka chałup samojedów, a z ich ostrokątnych dachów, na wpół śniegiem zasypanych, wznosi się gdzieniegdzie jeszcze lekki obłoczek dymu; inne spoczywają już w zupełnej ciemności, pogrążone w śnie twardym. Opodal od mizernej tej wioszczyny, w ustronnem zaciszu, wznosi się na tle białych śniegów budynek odmiennego zupełnie typu, ciemny, obszerny i mocno zbudowany. Z wysokiego jego komina strzela ku niebiosom słup czarnego dymu, a wydobywające się przez szczeliny okiennic na zewnątrz światło, ściele długie smugi jasnych promieni, miriadami różnobarwnych gwiazdek migoczące się w białych śniegach i lśniących lodowcach.

W obszernej izbie, na dużym kominie bucha rzęsisty ogień, miłe roznoszący ciepło, lampa na stole oświeca stosy książek i papierów, w nieładzie na nim porozrzucanych; na innym stoją liczne przyrządy miernicze i astronomiczne instrumenty. Dokoła ścian ciągną się szerokie ławy, miękkiemi skórami reniferów, niedźwiedzi i wilków zasłane, snać służą za posłania. Na jednej z ław, naprzeciw pieca leży człowiek młody jeszcze, wyniosłej postawy i przyjemnego oblicza, przybrany w ciepłą kurtę futrzaną i wysokie buty, zda się, że drzemie, czy jest pogrążony w głębokiej zadumie. Obok na pęku skór zwierzęcych śpi zwinięty w kłąb, duży szpic ostromordy.

„Kudłatek“, tak zwie się pies, był dzieckiem chłodnej tej krainy, urodził się wśród śniegów i mrozów i jeszcze do niedawna dzielił los swych psich współbraci, pomagał przeciągać sanie samojedów w ich koczowniczych wędrówkach, pasł ich trzody, chodził na łowy dalekie, często przymierał z głodu, kostniał od zimna. Byłby zapewne pędził swój marny żywot do końca, gdyby nie traf niespodziewany zgotował mu los znośniejszy. Oto po długiej, zimowej nocy, zawitało nad wyspą ożywcze światło słoneczne i wieczną noc na dzień bez końca zmieniło. Powiały ciepłe wiatry z południa, połamały i poruszyły okowy lodowe, odpędziły je od brzegów wyspy, a prądy, wschodnie uniosły je ku dalekim biegunom; oswobodzone od zimowego ucisku morze zajaśniało sinemi wodami

,,	riazańskiej	,,	2 (1%)
,,	stawropolskiej	,,	2 (1%)
,,	smoleńskiej	,,	2 (1%)
,,	siedleckiej	,,	2 (1%)
,,	twerskiej	,,	2 (1%)
,,	charkowskiej	,,	2 (1%)
,,	czernihowskiej	,,	2 (1%)
,,	estlandzkiej	,,	2 (1%)
,,	irkuckiej	,,	2 (1%)
,,	tobolskiej	,,	2 (1%)
,,	astrachańskiej	,,	1 (1/2%)
,,	bakijskiej	,,	1 (1/2%)
okr.	batumskim	,,	1 (1/2%)
w gub.	besarabskiej	,,	1 (1/2%)
,,	wileńskiej	,,	1 (1/2%)
,,	wołogodzkiej	,,	1 (1/2%)
,,	grodzieńskiej	,,	1 (1/2%)
,,	kaliskiej	,,	1 (1/2%)
,,	kałuskiej	,,	1 (1/2%)
okr.	karskim	,,	1 (1/2%)
,,	kubańskim	,,	1 (1/2%)
w gub.	łomżyńskiej	,,	1 (1/2%)
,,	mohylewskiej	,,	1 (1/2%)
,,	niżegorodzkiej	,,	1 (1/2%)
,,	ołonieckiej	,,	1 (1/2%)
,,	penzeńskiej	,,	1 (1/2%)
,,	piotrkowskiej	,,	1 (1/2%)
okr.	suchumskim	,,	1 (1/2%)
,,	terskim	,,	1 (1/2%)
w gub.	tyfliskiej	,,	1 (1/2%)
,,	erywańskiej	,,	1 (1/2%)
,,	akmolińskiej	,,	1 (1/2%)
,,	amurskiej	,,	1 (1/2%)
,,	zabajkalskiej	,,	1 (1/2%)
,,	zakaspijskiej	,,	1 (1/2%)
,,	semipałatyńskiej	,,	1 (1/2%)
,,	syrdaryjskiej	,,	1 (1/2%)
okr.	jakuckim	,,	1 (1/2%)

Z powyższego wykazu widać, że w granicach Królestwa Polskiego istnieje 12 Towarzystw myśliwskich, zatwierdzonych w drodze urzędowej, w tem sześć oddziałów Cesarskiego Tow. prawidł. myślistwa: warszawski, iwangrodzki, kaliski, łódzki, mławski i płocki.

Z samodzielnych Towarzystw w Królestwie w spisie wymieniono:

1) Warszawskie Towarzystwo myśliwskie, założone w Warszawie 1880 r. Tow. to siedzibę swoją ma w klubie myśliwskim przy ul. Erywańskiej. Organem wykonawczym tego Tow. jest Komitet.

2) Łomżyńskie Towarzystwo przyjaciół myślistwa, założone w 1901 r.

3) Bialskie kółko prawidłowego myślistwa, założene w 1905 r. Siedziba zarządu istnieje w Białej, siedleckiej gub.

4) Siedleckie Tow. prawidłowego myślistwa, powstało w 1900 r. w Siedlcach.

Należy jednak wziąć pod uwagę, że referent spisu, który omawiamy, podciągnął pod kategoryę Tow. myśliwskich, wszystkie Towarzystwa myśliwskie i strzeleckie wojskowe. Mają one specyalne swoje cele, zmierzające do wyrobienia w młodych oficerach zdolności szybkiego oryentowania się w polu i lesie, oraz wprawę ich w strzelaniu. Towarzystwa takie wcale lub w bardzo małym stopniu mogą się przyczynić do poprawy zwierzostanów, nie jest to bowiem ich zadaniem.

Z trzech zaregestrowanych w Warszawie Towarzystw myśliwskich do tej ostatniej kategoryi zaliczyć należy warszawskie koło myśliwskie oficerów fortecznych. Warszawskie Tow. myśliwskie nie posiada własnych terenów i poluje tylko na gruntach swoich członków. Jeden tylko Warszawski Oddział Cesarskiego Tow. prawidłowego myślistwa zaliczyć należy do instytucyi zajmującej się czynnie sprawami myślistwa całego kraju. Iwangrodzki Oddział oraz niektóre oddziały w miastach gubernialnych również dla pp. oficerów zostały założone, tak, że w granicach Królestwa Polskiego funkcyonuje obecnie nie więcej jak 6 Towarzystw myśliwskich, które mogą i powinny dodatnio oddziaływać na krajowe łowiectwo.

Czy wszystkie spełniają swoje zadanie należycie — to już jest kwestya, nad którą zastnowimy się przy innej sposobności.

J. Z.

---

czystemi; śniegi stopniały,—tajga zielonym okryła się kobiercem, i barwne kwiecie upstrzyło doliny. Setki tysięcy kaczek, nurów, lodowców, alk, mew i innego wodnego ptactwa pojawiło się w przystani, skwapliwie zagnieździło się na urwistych skałach i swym gwarem i wrzaskiem ożywiło śpiącą dotąd wyspę. Nadbrzeżne rafy i wysepki stały się ulubionem miejscem wypoczynku fok. Samojedzi często pojawiali się nad brzegami morza i jednego pięknego poranku ujrzeli na przestworzu modrych wód wydobyte białe płótna żaglowe, a niebawem czarny kałdub wielkiego parowca, sapiący i wyrzucający kłęby ciemnego dymu ze swego wnętrza podpłynął ku brzegom wyspy i stanął na kotwicy. Rozległ się przeraźliwy świst syreny, zawarczały maszyny i windy, zagrzmiał głos komendy, i przystań zaroiła się od białych szalup. Przewożono z pośpiechem na brzeg, ładowne pęki i wory, belki, deski, węgiel i masę innych przedmiotów, a zręczni cieśle okrętowi zestawiali dom obszerny i wznieśli małą przy nim wieżę obserwacyjną.

Gdy wszystko należycie urządzono, przybył w towarzystwie oficerów załogi parowca „nieznajomy“, młody człowiek na brzeg. Przybył on tu w celach naukowych i na długo miał rozstać się ze swymi towarzyszami i światem cywilizowanym. Na jego poważnej twarzy zasiadła troska i głęboki smutek, a gdy powiały sprzyjające dla żeglugi parowca wiatry i dano sygnał odpływu, czule i ze łzą w oku żegnał swych przyjaciół. Dawno już wzburzone bałwany zakryły w swych fałdach oddalający się raźnie okręt, a obcy człowiek stał nad brzegiem przystani z utkwionem okiem w daleki horyzont, aż wreszcie leniwie powlókł się ku chacie. Przypatrywali mu się ciekawi samojedzi, oglądali jego broń, ubranie i cisnęli się do chaty. Między widzami był też gospodarz Kudłatka, który i większą łagodnością i lepszym wyglądem wyróżniał się od całej zgrai swych psich współbraci. Obce i nieznane są nam powody sympatyi, którym często mimo naszej woli i dążeń ulegamy, a które tak silnymi łączą nieraz węzłami dwa różne życia i przykuwają je na zawsze do siebie.

Tak też i nasz „nieznajomy“ uczuł sympatye do Kudłatka, a ten wzamian obcierał się o jego nogi i łasił się mu. Za rubla i szklanicę wódki pies przeszedł do nowego pana i odtąd nie opuszczał go na krok, dzielił dobrą i złą z nim dolę. Lato całe nasz „nieznajomy“ spędzał na zwiedzaniu wyspy, robił zdjęcia pomiarowe, fotografował pejzaże, zbierał jaja, strzelał ptaki, suszył zioła, gromadził minerały, lub z samojedami łowił ryby, zwiedzał wybrzeża i przyległe wysepki. Wiele czasu zajmowały obserwacye meteorologiczne, długie godziny siedział nasz nieznajomy w budce wieżyczki, a Kudłaty cierpliwie oczekiwał go na dole, wesołem szczekaniem wyrażając swe zadowolenie z czynności pana.

Często w dni ciche i słoneczne nieznajomy przesiadywał długie godziny nad brzegiem przystani, z obliczem, zwróconem w strony rodzinne; a wtedy bystry spostrzegacz dojrzałby zapewne w jego twarzy głęboką troskę i nieutuloną tęsknotę, za wszystkim, co drogiego pozo-

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Granty są ciekawe i nie płochliwe, o ile jeszcze nie miały sposobności zapoznać się z człowiekiem. Pewnego razu podszedłem rudel Grantów, w którym znajdowały się trzy samce. Po strzale, który powalił na ziemię jednego samca, pozostałem schowany w trawach, dla obserwowania ucieczki rudla. Odskoczył kilkaset metrów na małą wyniosłość, począł przypatrywać się ciekawie w kierunku, gdzie byłem ukryty i gdzie padł kozioł, a po półgodzinnej obserwacyi, zaczęły łanie z wyciągniętemi szyjami, powoli i ostrożnie zbliżać się do miejsca pierwotnie opuszczonego, kozły postępowały za łaniami swobodnie, nie okazując zainteresowania. Wyczekawszy półtora godziny, gdy rudel już był blizko, zastrzeliłem jeszcze drugiego kozła; pozostałe sztuki odskoczyły znów na pagórek i stanęły. Ponieważ miało się ku zachodowi, wstałem i poszedłem do ubitych sztuk.

Rudel nie ruszył się ze swego obserwacyjnego pagórka i przypatrywał się spokojnie ludziom, którzy przyszli po zwierzynę.

Granty spotykałem często z kongoniami na wspólnem pastwisku, nie jest to jednak sympatya, któraby je do siebie zbliżała, lecz raczej jednakowy apetyt na świeższą lub lepszą trawkę, rosnącą bujniej w jakiemś wilgotniejszem miejscu; to też w razie popłochu nie trzymają się razem, kongoni uciekają pojedyńczo lub gromadnie, — a Granty zbite w kupkę postępują naprzód, ostrożnie, pod przewodnictwem jednej lub dwóch łań.

Kuro. — Jeleń wodny. — Waterbuck. — Cobus Ellipsiprymnus.

Polską nazwę „Jeleń wodny", nadałem powyższym antylopom po części z powodu ich wyglądu zbliżonego do jeleni, po części dla tego, że nigdzie odpowiedniejszej nie znalazłem, przyznaję jednak, że nie jest zupełnie dobraną, gdyż kuro (nazwa Swahili) należy do innej niż jeleń rodziny, mianowicie do pustorożców.

Rogi odróżniają go najbardziej od naszych jeleni, są pojedyńcze, karbowane, łukowato ku przodowi wygięte, koloru żółtawo szarego, a długość największych przezemnie zdobytych wynosi 70 cm. Dłuższych nie widziałem. Samice rogów nie mają. O ile znamiona zbliżają samca do jeleni, tak, że w pierwszej chwili nasuwa się myśliwemu ta nazwa, o tyle samice na pierwszy rzut oka robią wrażenie raczej dużej owcy, niż łani. Wogóle, co do wyglądu, powiedzieć można, że stosunek ich do jeleni, ma się tak jak perszerona do konia angielskiego. Włos tych zwierząt jest koloru bronzowego, długi i rzadki. Wzrostem dorównują naszym jeleniom, podobnym jest także trop i silny zapach, który wydają, zwłaszcza w miejscach legowisk. Jak nazwa wskazuje, trzymają się w pobliżu wody. Godziny południowe, w dniach gorących i suchych, przebywają w gęstych zaroślach, a wychodzą przed wieczorem, aby całą noc żerować, podczas deszczu ruszają się ciągle, — najpiękniejsze okazy upolowałem w słotę, lub zaraz po jej ustaniu. Duże, stare samce, nie trzymają się samic, spotykałem je samopas przechadzające się, lub skubiące trawę, większe rudle złożone zawsze z samych samic i małych. Pewnego razu, w marszu po stoku wzgórzy, uderzył mnie niezwykle silny zapach jeleni wodnych. Zwróciło to moją uwagę i poszedłem, kierując się po trosze tropem, po trosze węchem, w kierunku przez zwierzęta obranym. Jakoż po upływie kilkunastu minut, natknąłem się na ogromne stado, złożone jak zwykle z samych łań i cieląt. Przypatrywały mi się bez obawy w odległości kilkudziesięciu metrów, pozwoliły na kilkakrotne fotografowanie i ostatecznie zostawiłem je na miejscu.

Jelenie wodne są mało płochliwe, powiedziałbym nawet nierozważne, stare samce aczkolwiek czujniejsze, nie mogą dorównać pod tym względem innym gatunkom antylop. Nie wydarzyło mi się spłoszyć przedwcześnie jakiego jelenia wodnego; wszystkie duże sztuki, które widziałem, dały się podejść na strzał, nawet przestrzeganie kierunku wiatru, nie jest koniecznie potrzebnem. Podnieść jednak należy, że charakter terenu, w którym przebywają, jest dla nich niekorzystnym, a natomiast bardzo sprzyjającym dla myśliwego. Oprócz wysokich traw, sięgających nie rzadko do ramion, porozrzucane są większe lub mniejsze kępy krzewów, dzięki którym można podsuwać się naprzód szybkiem tempem, będąc doskonale zamaskowanym. Na step, zdala od wody, jelenie te nigdy nie wychodzą.

Ciekawych epizodów myśliwskich z nimi nie miałem,

---

stało w dalekich krajach ojczystych. Kudłatek nie pojmował zadumy swego pana, ale jego psia natura odgadywała smutek jego, wstawał co chwila, podchodził i ocierał się o nogi, lizał mu ręce, a gdy nieznaczny uśmiech zawitał na posępnej pana twarzy, i on radośnie kręcił ogonem.

Czas szybko ulatał, słońce coraz niżej się opuszczało, przybliżała się jesień. Długie klucze szarych gęsi wysoko ciągnęły ku południowi, a ich gęganie tęsknem echem odbijało się o puste, nadbrzeżne skały, sznury białych łabędzi przepływały około wyspy, ptactwo wynosiło się pośpiesznie w cieplejsze strony — gwar ich zamierał, okolica pustoszała z dniem każdym. Za to, jakby na zmianę, częściej pojawiał się lis, lub piesiec puszysty, niekiedy niedźwiedź zapuszczał się za zdobyczą. Stada morsów nie rzadko podpływały pod brzegi, wytykając z wody ciekawie swe okrągłe głowy. Coraz częściej dęły wschodnie wiatry, a choć lodów widać jeszcze nie było, to blizkość ich odczuwać się dawała; poprzedzały je gęste mgły. Bałwany pięły się coraz wyżej, biły w granitowe ściany wyspy ze straszną siłą, a odbite, cofały się, by jeszcze wyżej i natarczywiej uderzyć. Morze huczało ustawicznie i zdawało się rosnąć wyżej, jego spienione fale sięgały obłoków niekiedy. Dwa dni szalała straszna burza nad wyspą, śniegi pokryły pola, a mróz wzmógł się do 15°. Nieznajomy i Kudłatek ujrzeli całą przystań zawaloną masami brył lodowych, po morzu pływały całe góry białe. Wiatr przypędził je z północy, może z samego bieguna, następowała 3-miesięczna, długa noc zimowa, a wiatry napędzały co chwila nowe masy śnieżycy, trzęsły skałami, unosiły kamienie, biły w domek pustelniczy, który uginał się i trząsł pod ich silnym naporem.

W takie dni „nieznajomy" siedział przy stole, pisał, lub czytał, a Kudłatek spał smacznie na pęku skór, zrzadka tylko wstając, prostując i wyciągając swe nogi, podchodził do swego pana, by się koło niego połasić. Ucichały niekiedy huragany buszujące i wtedy nasz „nieznajomy" z Kudłatkiem i Samojedami na dalsze puszczał się łowy. Zatoczą samojedzi ogromne półkole w tajdze, wezmą zwierza w matnię i pędzą go na ukrytego pod śniegową kupą myśliwego; zwierz zwietrzył niebezpieczeństwo i w bok uderzył. Samojedzi się zmięszali, ich małe postacie, naprzód mocno pochylone, suną raźnie na łyżwach w śniegu, okrążają zwierza i prą na strzelca. Nie są to łatwe jednakże strzały; rezultat osiągnięty bywa nie zawsze.

Tak płynęły naszemu „nieznajomemu" dni ostatnie, noc długa nieubłaganie się zbliżała, a z jej pojawieniem opanowywała go jakaś słabość i ociężałość. Wstając z trudem rano, czuł się nieraz kompletnie chorym, w głowie czuł zawroty ustawiczne, a czem więcej ciało słabło, umysł pracował zawzięciej — dawno zapomniane sceny życia, widziane pejzaże słonecznych, południowych krain, twarze znajomych wyraźniej dziś przed oczy występowały. A i nasz Kudłatek musiał mieć sny miłe, często szczekał przez sen, przebierał czasami nogami, jak gdyby

a opiszę upolowanie jednej sztuki, na dowód braku zmysłu spostrzegawczego u tych zwierząt. Podchodziłem stado Impalli na lekkim stoku wzgórza i dałem raz po raz kilka strzałów. Moi ludzie, postępujący za mną w odległości dwustu metrów, spłoszyli w chwili strzałów jelenia wodnego z zarośli, który oddaliwszy się stanął na przeciwległym stoku góry, po drugiej stronie wąwozu, w kierunku równoległym do mego stanowiska. Jakkolwiek odległość była duża, piękne rogi skłoniły mnie do zaryzykowania strzału. Pierwszą kulę jeleń zaznaczył, druga padła za nisko. Rozpoczęła się gonitwa; jeleń jednym stokiem zdołał przedrzeć się na przeciwległy stok. Biegnąc równolegle, do niego przeciwległym stokiem podbiegłem. Nie mogłem i myśleć o przybliżeniu się do zwierza przez przejście wąwozu; spuściwszy się w dół, straciłbym go z obserwacyi, a powtóre nie było pewnem, czy wogóle będzie można przedrzeć się na przeciwległy stok. Biegnąc równolegle miałem przynajmniej tę korzyść, że nie traciłem go z oczu, a odległość nie zwiększała się. Od czasu do czasu, jeleń stawał i oglądał się w kierunku moich pierwszych strzałów i miejsca, z którego został ruszony, natomiast zupełnie nie przypatrywał się otoczeniu, a byłby musiał mnie spostrzedz na kamienistej, niezarosłej górze, bo ubranie stanowczo za jasne, odbijało jaskrawo od ciemnych kamieni, odległość zaś w linii prostej, nie mogła przenosić 300 metrów. Gonitwa taka trwa pół godziny, gdy wtem jeleń zawrócił pod prostym kątem ku mnie, przeszedł przez jar i ukazał się na stoku po mojej stronie. Ponieważ miałem już całkiem dosyć bieganiny, nieposkąpiłem kilku kul, aby go czemprędzej dostać. Jeleń poszedł w przewał, gdzie doszedłem go po tropie. Jest pewną myśliwską przyjemnością odpocząć przy upolowanem, pięknem zwierzęciu, oglądnąć je dokładnie, wreszcie kierować ludźmi przy rozbieraniu, aby trofeów nie popsuli. Lecz nie mogłem sobie na to pozwolić, wszak przed postrzeleniem kuro, miałem spotkanie ze stadem Impalli, zostawiwszy więc pięciu ludzi, rozpocząłem drogę powrotną do miejsca pierwszych moich strzałów. Na szczęście strzelec dorozumiał się, że jakaś kombinacya zaszła i nim dalej za mną podążył, naznaczył miejsce pierwszego spotkania; tak więc trafiliśmy bez długich poszukiwań. Stamtąd łatwo odszukaliśmy kierunek Impali i ślady dwóch farbujących sztuk, które odłączyły się od stada. Czas jednak uchodził, gdy odnaleźliśmy obydwie Impalle, słońce zachodziło i szybko zmrok zamienił się w noc. Objuczona zdobyczą, wracała mała karawana do obozu, mnie zaś obok zadowolenia z obfitego łupu dziennego, ogarniało uczucie niepokoju i obawy przed jakiem niepożądanem spotkaniem z drapieżnikami żerującymi po nocy. W razie wypadku byłbym dużo miał sobie do wyrzucenia, bo nie kazałem brać latarń z obozu, w mniemaniu, że wcześnie powrócimy. Światło choćby latarni, trzyma na wodzy nawet króla zwierząt, bez ognia tak w pochodzie jak i w obozie, jest się narażonym w nocy na groźne niebezpieczeństwo. W dzień uznaje każde zwierzę panowanie i przewagę człowieka, napady nigdy się nie zdarzają, natomiast wśród ciemności, bije godzina odwetu i śmierć czyha na każdym kroku, jeżeli zaniecha się użycia magicznego wrażenia ognia. Wracam jednak do tematu, od którego odwiodło mnie chwilowo, wspomnienie powrotu wśród nocnych cieni afrykańskiego lądu. Podobną potrzebą wody odznaczają się obok Jelenia Wodnego, dwa inne rodzaje antylop przezemnie spotykane, oba należące do gatunku Tragelaphus. Pierwszym z nich jest „*Buschbock*", nazwijmy go po polsku kozłem zarośli, wielkości daniela, sierć ma ciemno-bronzową z białemi centkami i białem podbrzuszem. Rogi spiralne, zwinięte około osi, proste, wysokości 30 do 40 cm., koloru czarnego. Przebywa nad wodą i trzyma się zarośli. Widziałem mało tych zwierząt, a ubiłem tylko jedną sztukę.

O drugim gatunku, który nazwijmy centkowanemi sarnami, nie mogę również dać wyczerpującego opisu. Są czerwone jak nasze sarny, mniejsze od nich i wyglądają tłuściejsze, niby opasione. Raciczki mają bardzo malutkie, po tropie mniemałoby się, że zwierzęta są znacznie mniejsze niż w rzeczywistości. Spłoszone lubią porykiwać głosem zbliżonym bardzo do głosu naszych sarn. Ponieważ trawy nadbrzeżne są zwykle bujne i wyższe od nich, przeto widuje się je tyklo przypadkiem, na piasku, przy pójle. Z tego gatunku widziałem same sarny bez rogów, najczęściej z jednem lub dwoma małemi.

Gnu, Wilderbeest, Catoblepas Taurinus.

Antylopa ta rozpowszechniona jest w B. E. A. bardzo nierównomiernie. Słyszałem, że są okolice, w których całemi stadami przebywa, ja spotykałem ją tylko pojedyńczo, lub po kilka sztuk jako arrière-garde dużych stad kongonich lub zebr, do których chwilowo przystaje i z któremi nie wiąże się na dłuższy czas. Usposobienie tego zwierzęcia stoi w sprzeczności z jego wyglądem. Jest ono

---

gonił, czuł się jednakże lepiej od swego pana. Jadł dużo i smacznie, wysypiał się na miękkich skórach wtedy, kiedy jego towarzysze marzli, zakopani w śniegu, lub głodem trapieni, uganiali się za zdobyczą koło jurt samojedów. Czasami trwożyły go wycia towarzyszy, węszących zbliżającego się polarnego niedźwiedzia, wtedy wtórował im lekkiem naszczekiwaniem.

Tak płynęły dni długie i okropne, nastał dzień wigilijny. Nieznajomy czuł się szczególnie dziś osłabionym. Ciemna noc i przenikliwy, gęsty tuman, jak zimnymi kleszczami cisnęły mu skronie. Swoje odosobnienie i ciężką samotność dolegliwie odczuwał; potrzebował obcowania z ludźmi.

Wstał więc z posłania, nałożył na siebie ciepłą malicę, naciągnął futrzane obuwie, kaptur nasunął na głowę, przypiął łyżwy i z zarzuconym na plecy sztucerem, opuścił chatę. Noc była cicha, mroźna. Niebo pokryte rzęsistemi gwiazdami, jaśniało wesoło, północna zorza oświecała cały horyzont. Myśl nieznajomego uleciała mimowoli za kamienne wybrzeża wyspy ku nieznanym biegunom. Ileż tam przedśmiertnych westchnień, ileż gorących modlitw słyszały te dzikie strony, na ile młodych, przedwczesnych, męczeńskich śmierci patrzyły z wyżyn te same gwiazdy!

O wiorstę od chat samojedów droga nagle ku morzu zwracała, zkąd dyszało chłodem śmiertelnym. Nasz nieznajomy głębiej nasunął na czoło kaptur i raźniej przyśpieszył kroku. Pies w wesołych podskokach wyprzedzał pana, to zbliżając się, to oddalając od niego. Nagle stanął, uszy postawił, ogon pod siebie podwinął, a sierć na grzbiecie najeżył. Z pod przydróżnej kupy kamieni wyskoczył wilk i rzucił się na Kudłatka, a zanim go zdołał uchwycić, zabłysnął ogień, suchy huk wystrzału odbił się o skały i wilk znikł w ciemności. Kudłaty nie zdążył jeszcze zawrócić, gdy uderzony przez wilka skręcił się na śniegu, a z bólu i strachu nie słyszał nawet drugiego wystrzału. Teraz obaj leżeli obok siebie, pies z wyrwaną szyją, wilk z rozbitym łbem. Nieznajomy nagięty nad psem patrzał w gasnące jego oczy, a gdy ten żyć przestał, otarł spływające i marznące na 40° stopniowym mrozie łzy z oczu i zawrócił do domu.

Gdy na drugi dzień odwiedzili naszego nieznajomego samojedzi, by wypić wódki i zakąsić coś smacznego — ten ich posłał po Kudłatka i wilka. Nie pojmując, na co pies może się przydać, zagrzebali go w śniegu, a skórę wilka przynieśli do izby.

Wł. Czerniejewski.

jak wszystkie antylopy bojaźliwem, a wygląda wyzywająco i groźnie, jak gdyby miało się rzucić na każdego spostrzeżonego nieprzyjaciela. Podobne jest raczej do bawołu niż do antylopy: maść bronzowa, przednia część pokrywa dłuższym włosem, przypomina żubra, biegnie najczęściej w krótkim galopie, z głową w dół spuszczoną.

Widziałem go tylko na stepach, nigdy w zaroślach. Nie łatwy jest do podejścia, znacznie trudniej upolować go, niż n. p. kongoni nagonką, a to dla łatwo zrozumianych okoliczności: Jak wyżej nadmieniłem, jednolitych stad nie było, lecz po jednej lub po kilka sztuk między kongoniami i zebrami. Gdy nagonka rozpocznie swój manewr, zwierzęta zaczną posuwać się naprzód, straż tylna stanowi zawsze „groźne“ gnu—jakkolwiek więc nagonka udaną była, przeszłyby naprzód obok myśliwego inne zwierzęta, a potem gnu. Zwykle jednak skoro czoło stada dojdzie do stanowiska myśliwego i spostrzeże go lub zawęszy, w jednej chwili zwraca w inną stronę, a tem samem gnu, który jeszcze był daleko, całkiem nieświadomie uchodzi niebezpieczeństwa i ślepo podąża w nowo obranym kierunku.

Sposobność podziwiania wspaniałego widoku ogromnych stad antylop na stepie, zdarzała mi się najczęściej, gdy zagiąłem parol na gnu. Teren był lekko falisty, na wzniesionem miejscu pasło się małe stadko kongonich i jeden gnu; pastanowiłem zapolować na niego.

Pogonka odeszła i znikła w oscylującem nad ziemią powietrzu — po chwili i stadko obserwowane zaszło za wyniosłość terenu tak, iż zostałem sam między niebem i stepem. Minęły trzy godziny wyczekiwania monotonnie i spokojnie — nagle ujrzałem kłęby kurzawy posuwające się w moim kierunku i długie oczekiwanie zostało w jednej chwili wynagrodzone widokiem ogromnego stada kongonich, które wypadło na pagórek w linii rozwiniętej jak pułk konnicy i pędziło wprost na mnie. Nie pomyślałem nawet o strzelaniu, tak pięknie wyglądało wspaniałe stado rozpędzone po stepie. W odległości stu metrów stanęły jak na komendę, długa linia złamała się w kilkudziesięciu miejscach i oddaliła niby w kolumnie wojskowej na prawo i lewo. Okazało się później, że pogonka zakryta falistością terenu, została spostrzeżoną na bliską metę i całe stado tak jak się pasło, sztuka obok sztuki, rzuciło się do ucieczki i dlatego długą wstęgą wynurzyło się z za pagórka, przed mojemi oczyma. Co się stało z gnu, na którego właściwie polowałem, nie wiem, w tym zgiełku, kurzawie i popłochu ani ja, ani ludzie z pogonki, nie spostrzegli go więcej.

A oto drugie polowanie: Teren tworzył kotlinę obszaru kilku kilometrów kwadratowych, porosłą młodszą trawką o żywszej barwie. Na przestrzeni tej pasło się kilkanaście stad różnych antylop i zebr. W jednem z tych ostatnich odznaczył się wielkością i grubością gnu. Po wspólnej naradzie, strzelec dostał dyspozycyę, aby okrążyć kotlinę. Było niepodobnem odciąć osobno stado, w którem znajdował się gnu, dla braku zamaskowania i należało te setki zwierza z całej kotliny w ruch wprawić. Tymczasem widziałem prawie ciągle manewr nagonki, a było to tak zajmującem, że kilka godzin w mig zeszło. Różnokolorowe stada posuwały się tymczasem powoli, skubiąc trawę spokojnie. Najoryginalniejsze były zebry, których chwilami zupełnie widać nie było, gdy je zaś od czasu do czasu oświeciły promienie słoneczne, w taki sposób, że białe i czarne pasy z wielką wyrazistością odbijały od siebie, chwytały żywym kolorytem oko. Nagle dalsze stada zaczęły okazywać zaniepokojenie, potem bliższe, aż wreszcie ruszyło stado zebr, pasące się najbliżej mego stanowiska, wśród którego gnu się znajdował. Przechodziło ono, parskając, w krótkich susach, w odległości mniej więcej stu lub dwustu metrów oddalenia.

Kiedy było najbliżej mego stanowiska, posłałem trzy kule. Od pierwszego strzału zerwało się stado do szalonego biegu, obłok kurzu owinął zwierzęta i tak otoczone niby chmurą, zniknęły w krótkiej chwili z oczu. Gnu po strzałach nie zaznaczył, wiedziałem, że go nie dostanę, lecz spełniając powinność myśliwską, poszedłem na miejsce, przekonać się, czy farby niema. Zdala je już odróżniłem, po wzburzeniu ziemi i trawy, które wyglądały jakby po przejściu bron, ale jak przeczuwałem, wszelkie badania tropów nie odniosły dodanego rezultatu. Jednego gnu podszedłem bez pomocy ludzi. Był sam na stepie i wpatrywał się nieruchomie, z takiem zajęciem przed siebie, w dal, że dał się podejść z tyłu na dwieście metrów, a gdy się nagle obrócił, czy węchem przestrzeżony, czy przez intuicyę, ugodzony kulą, padł po kilku susach.

Jakkolwiek było kilka nieudanych polowań na gnu, łączy się dla mnie z tym gatunkiem wiele miłych wspomnień i pięknych obrazów, do których myślą chętnie powracam.

(C. d. n.)

LALIN.

(Ciąg dalszy).

Było to powolne, ociężałe posuwanie się naprzód, szliśmy z początku po świeżych śladach swoich, niedawno pozostawionych, a potem zwróciliśmy na lewo ku północowschodowi, żeby przeciąć ten kierunek, w którym szliśmy do pierwszego barłogu przed południem. Pilnowałem się, żeby tylko nie zostać w tyle, poza tem opanowała mnie taka apatya bezgraniczna, jakiej nie odczuwałem dotąd nigdy.

Nie wiem już po jak długim czasie, dobywając sił ostatka, wyszliśmy rzeczywiście na nasz ranny ślad i tu postanowiliśmy wypocząć. Pościągaliśmy suchych gałęzi i roznieciliśmy suty ogień, który wnet wesołym buchnął płomieniem. Rozgarnęliśmy nieco śniegu tuż przy ogromnej, zwalonej kłodzie i grzaliśmy się z lubością. Psy jedne tylko nie odczuwające głodu, przygarnęły się do Lalina i poskręcały się w kłębki, grzejąc nas ciałami swemi. Jasne światło od ognia padło na pomęczone twarze ludzkie i zaczerwieniło je, udzielając zarazem jakiegoś niezwykłego wyrazu całej gromadzie naszej. Fantastyczne cienie siedzących i stojących postaci nadawały szczególną cechę temu zebraniu i miało się wrażenie, że się jest wśród garstki partyzantów lub przemytników. Błogie ciepło rozlewało się od strony ognia, a plecy jednocześnie jak by stygnąc — marzły.

Głowa do snu ciążyła, sen kleił powieki i bezwładność opanowywać zaczynała całem jestestwem, unicestwiając siłę woli. Tak czuć się muszą chorzy na „beri-beri“. Stał się dla mnie zrozumiałym wtedy stan, który odczuwać musieli nieszczęśliwi żołnierze, padając z wycieńczenia na polach Mandżuryi w tym samym czasie w odwrotnych pochodach z pod Jału, Laojanu i Mukdenu, żeby za cenę życia na wilgotnej ziemi usnąć.

Chociaż przytomność umysłu mnie nie opuszczała, wszystko stawało się obojętnem, bo i głód nawet przestał mi dokuczać. Przesiedzieliśmy tak i przeleżeli, na pół drzemiąc, parę godzin; była już północ, wiąc najmniej sześć godzin, całe ćwierć doby do świtu. Trzeba było ruszać dalej; zdania się różniły: jedni utrzymywali, że lepiej iść na przełaj, że droga i konie nasze powinny być w kierunku północnym niedaleko; drudzy radzili nie schodzić ze śladu.

Poszliśmy za radą tych ostatnich w tej nadziei, że po swoich śladach, choć i dalej przejdziemy, to zato będzie pewniej i w rezultacie nawet na czasie może wygramy. Nie przewidywaliśmy wówczas, jak srogi zawód miał nas spotkać: weszliśmy w błędne koło, które wczoraj plącząc się po tajdze, samiśmy zgotowali sobie.

Zaczęliśmy więc błądzić tak samo teraz po nocy, jakieśmy błądzili wczoraj w dzień i po daremnych wysiłkach przyszliśmy do przekonania, że do świtu nie damy sobie rady. Takie przygnębiające zeznanie odbiło się ciężkiem uczuciem podwójnej, bo moralnej i fizycznej za-

razem bezsilności. Paru energiczniejszych, czy też ryzykowniejszych i silniejszych, oddzieliło się niezależnie od reszty i poszli jak im się zdawało najlepiej. Jednym z nich był przewodnik, który głównie obstawał za tem, żeby iść odrazu na przełaj bez śladu, w jednym kierunku, orjętując się przy pomocy gwiazd.

Po niejakim czasie usłyszeliśmy ich oddalone nawoływania. Okazało się, że wszyscy już byliśmy w pobliżu drogi, jakoż niebawem wyszliśmy na nią, bo i rżenie koni pozostawionych dało się wyraźnie słyszeć. Kiedyśmy do nich podeszli, świtać zaczynało, była bez kilku minut siódma. Zwaliłem się jak kłoda na najbliższe sanie, tuż przy mnie z jednej strony przykucnął Lalin, z drugiej Anton, a wystałe i przemarzłe konie po wydostaniu się ze swego improwizowanego obozowiska na utartą drogę, galopem prawie „ventre à terre" uniosły nas z powrotem do Pucharewki.

W godzinę potem i po całej dobie peregrynacyi już w biały dzień byliśmy w schludnym domku Antona, gdzie nas z niepokojem od dnia wczorajszego oczekiwano. Ile się wypiło herbaty gorącej, jak się jadło i jak to smakowało wtedy, opisywać nie będę usiłował, niech to sobie czytelnicy wyobrażą sami. Jeszcze nawpół skostniałe członki nie zdążyły należycie rozgrzać się, gdy zdjąwszy tylko obuwie, rzuciłem się na łóżko, żeby się dopiero wieczorem o zmroku około piątej przebudzić. Na pocztowy pociąg Nr. 4-ty nie mogłem już dnia tego zdążyć, bo na szóstą musiałbym być w Sudżence, a do stacyi lekko licząc było półtrzecia godziny dobrej jazdy.

Nocować raz jeszcze w Pucharewce nie chcieliśmy, licząc na jakikolwiek mieszany t. j. towarowo-pasażerski pociąg, na który bilet mój rocznej jazdy dawał mi prawo; zaś dla Lalina w kierunku przeciwnym jadącego z powrotem do Tomska, zostawało jeszcze kilka godzin czasu.

Zasiedliśmy tedy, nie śpiesząc, do obiadu, podczas którego w formie uprzejmego zapytania Lalin zaproponował mi, jeżeli chcę, wzięcie jednego niedźwiedzia. Powtórzyłem mu onegdajsze postanowienie co do tego, mianowicie, że pragnieniem mojem było przedewszystkiem po pierwsze uczestniczyć w polowaniu na niedźwiedzia w barłogu, co od dawna było mojem marzeniem, a szczególnie z tak znakomitymi psami, za jakie słyną psy Lalina, a powtóre mieć, jeżeli to będzie możliwe, pierwszy strzał.

Co zaś do trofeum w postaci skóry niedźwiedziej, to bezwarunkowo i zawczasu zrzekam się tego z góry na rzecz gospodarza polowania.

W takiem uprzednio powziętem postanowieniu utwierdził mnie jeszcze ostatecznie sposób zachowania się Lalina, szczególnie podczas ukazania się drugiej niedźwiedzicy; był on co najmniej dziwny i to gwałtowne pośpieszne strzelanie do trupa niczem nie było w oczach moich usprawiedliwione. Zdaje się, że Lalin nie zupełnie był zadowolony z takiej decyzyi mojej, ja zaś pamiętając rozmowę przed dwoma dniami z Reszem i jego upomnienia przy pożegnaniu, zagwarantowałem się w ten sposób od wszelkich niemiłych ewentualności i przypuszczalnych nieprzyjemnych, a możliwych incydentów. Widząc w całem mojem zachowaniu się rezerwę i ostrożność względem siebie, zemścił on się na mnie, jak się później okazało, pomieszczając w „Prirodie i Ochotie" za Styczeń 1905 r. pobieżne opisanie tego polowania, w którem tendencyjnie i jawnie wszystko poprzekręcane było tak, jak i nazwisko moje. Wymówiłem sobie jeszcze w wagonie, jadąc z Tajgi do Sudżenki, że koszt podróży końmi do miejsca polowania i z powrotem należeć ma wyłącznie do mnie; przy końcu obiadu kazałem konie zaprzęgać, a zaraz po obiedzie późnym już wieczorem wyjechaliśmy z powrotem do stacyi kolejowej t. j. do Sudżenki. Nie zmieniając koni, we trzy godziny przed dziewiątą byliśmy na stacyi i trochę zziębnięci podążyliśmy wprost do bufetu dla rozegrzania się herbatą z koniakiem.

Dowiedzieliśmy się, że Resz po zabiciu swego niedźwiedzia wczoraj jeszcze powrócił do Tomska, zapytując o nas. Stosownie do jego zlecenia udałem się do dyżurującego zawiadowcy stacyi dla oddania mu broni Resza. Widząc to Lalin, wyraził chęć oddania własnoręcznie Reszowi jego broni; podziękowałem mu za taką uprzejmość jego, lecz nie przyjąłem tej propozycyi, chcąc ściśle wypełnić włożony na mnie obowiązek.

I tem również widocznie naraziłem sobie Lalina; zaniechał on tego wieczora jechania do Tomska, chociaż pociąg odpowiedni wkrótce nadszedł. Tłómaczył on to tem, że jakoby musi oczekiwać pierwszego niedźwiedzia, zabitego przed tygodniem w dniu 8 listopada, a którego mu jeszcze dotąd nie dostawiono na stacyę. Dwa, a raczej dwie niedźwiedzice wczorajsze według umowy miał mu za parę dni dostawić Anton. Po północy pierwszym pociągiem, jaki nadarzył się, pojechałem w swoją drogę do Krasnojarska, unosząc z sobą brzemię wrażeń, które się za ostatnie trzy doby uzbierały.

Kiedy przyjechałem do domu, przekonałem się, że opóźnienie przypadkowe moje nie wchodzące w program, nie odbiło się w niczem na interesach, które prowadziłem i niezwłocznie, stosownie do przyrzeczenia, napisałem króciutki list do Resza, komunikując mu o rezultacie naszego polowania w dniu 14-go listopada i wyrażając zarazem wdzięczność swoją za nadzwyczajną uprzejmość, jakiej od niego doznałem.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy w tydzień potem otrzymałem list od Resza z wyrzutami za niezastosowanie się do jego polecenia i oddanie broni Lalinowi, nie wyjaśniający przytem szczegółów istoty rzeczy, a tylko w kilku słowach komunikując o samym fakcie; prócz nieprzyjemności wielkiej otrzymało się jeszcze jakieś chaotyczne wrażenie.

Zmartwiony w wysokim stopniu, piszę drugi list, w którym wyrażam gotowość zwrotu kosztu broni, jeżeli ona niepowrotnie zginęła, ale prosząc jednocześnie o bliższe w każdym razie szczegóły, dotyczące tej sprawy. Po kilku dniach otrzymuję drugi list Resza, z którego dowiaduję się, że płatnik kolejowy, któremu Resz polecił przywieźć broń z Sudżenki, zakomunikował mu, że Lalin potrafił od naiwnego zawiadowcy stacyi broń wyłudzić i że od tego czasu więcej w Sudżence nikt Lalina na stacyi nie widział. W jego mieszkaniu w Tomsku także go nie było, słowem gdzieś się ulotnił, przynajmniej narazie.

Nadprzewidzianie na początku grudnia wypadło mi znowu pojechać do Tomska i jakież było moje zdziwienie, kiedy na dworcu w Tajdze w jadalnej sali, jedną z pierwszych osób „bec à bec" spotykam Lalina. Zamiast się witać, jakby należało, wołam z punktu: „Co pan z bronią Resza zrobiłeś!" Zainterpelowany w ten sposób, wcale się nie zmieszał ani formą, ani tonem mego pytania i z najzimniejszą krwią powiada mi: „Jeżeli Resz nie otrzymał jej wczoraj albo dzisiaj, to otrzyma jutro; posłałem mu broń przed paru dniami przez konkuktora".

Nie badając go, poco brał broń w ogóle od zawiadowcy w Sudżence i nie dając za wygranę, proponuję mu skreślić kilka słów na bilecie wizytowym, potwierdzających to co przed chwilą powiedział, dla okazania Reszowi, na co Lalin zgadza się i pisze mniej więcej w taki sposób: okazicielowi tej karty (moje imię i nazwisko) żona moja wyda broń, która jej przed paru dniami przez konduktora przesłaną została. Chociaż to wyjaśniło, że Resz jej w każdym razie jeszcze otrzymać nie mógł, ale nic co do tego spostrzeżenia nie powiedziałem, ciesząc się w duszy, że choć jakikolwiek dowód mam na to na piśmie, że Lalin broń zabrał. Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że w Tomsku on od czasu rozstania się ze mną po dniu 15 listopada nie był i teraz tam jeszcze nie jedzie. Co obecnie robi tu w Tajdze na dworcu kolejowym, nie chciałem go niedyskretnie wypytywać i tak pożegnaliśmy się. Późno w nocy tego samego dnia byłem w Tomsku, a na drugi dzień rano pierwszą rzeczą, od której dzień zacząłem, było udanie się pod wskazanym adresem do mieszkania Lalina.

(Dok. nast.).

Odpiłowywanie rogów jelenich.

Jak wogóle pamiątki chwil miłych, czy pięknych, mają wartość wielką, często nieocenioną, tak w szczególności trofea myśliwskie, jak naprz. rogi jelenie — stanowią skarb myśliwego, tworzą coś drogocennego, kosztownego, coś niezwykle miłego. To też prawdziwy myśliwy, z „powołania“ i zamiłowania, gdy mu ktoś zaproponuje sprzedaż rogów — uśmiechnie się z politowaniem, gdyż rogi te dla niego stanowią wielką, miłą i cenną pamiątkę. Nie pozbędzie się ich, jak kochanek nie pozbędzie się listów kochanki...

To też nic dziwnego, że tak zapatrując się na trofea myśliwskie — ceni się je; wślad jednak za tem poszanowaniem pamiątki, winna postępować troskliwość, staranność w przechowywaniu ich. Niestety często zdarza się, że widz bezstronny — musi otwarcie wyrazić swoje zdumienie, jak dziwnie zaniedbuje się te trofea, te pamiątki — pod względem estetycznym. Oczywiście — bezstronny, bezstronnie, przedmiotowo przyglądając się rzeczy — bezstronnie ją sądzi — bo nie wie, nie odczuwa, jakie węzły wspomnień wiążą myśliwego zjego trofeami. Ale im kto więcej przywiązuje wartości subjektywnej, tej tak zwanej „pretium affectionis“ do trofeów — tem troskliwiej winien przechowywać swoją pamiątkę.

Przedewszystkiem obserwatora uderza prawie powszechny fakt, że rogi zazwyczaj zbyt krótko są upiłowane. Nie da się to usprawiedliwić ani oszczędnościowymi, ani estetycznymi względami. A przyczyną złego, jak osobiście wielokrotnie doświadczyłem, jest nieumiejętność. Albo strzelec uradowany zdobyczą — sam bierze się do tego, choć nieudolnie, albo często służącemu zleca tę czynność. Oczywiście, że w jednym i drugim wypadku rogi mocno ucierpią i stracą na wartości.

Dużo wypadków miałem w życiu, z których przekonałem się o bezgranicznej wprost lekkomyślności w obcinaniu czy odpiłowaniu rogów. Ot — pewnego razu na przykład, ubiłem ładnego rogacza. Nie mając chwilowo czasu na zajęcie się „oskalpowaniem“ ofiary, bo właśnie spieszyłem na ślub przyjaciela, zostawiłem rogaty łup pod opieką jednego z dobrych znajomych i prosiłem o wstrzymanie się z odpiłowaniem rogów do czasu mego powrotu.

Wracam i na powitanie ukazują mi już ucięte rogi!.. Tyle przynajmniej pociechy, że dziś, gdy znaczna część męzkiej połowy rodzaju ludzkiego — dźwiga „rogi“ — można figlem osłodzić cierpką minę poszkodowanego na rogach jelenich. Ale bądź co bądź męzkie, dziś tak powszechne rogi — im krótsze — tem znośniejsze... Jelenie natomiast lepiej już dokładnie, rozumnie, a przedewszystkiem starannie zdejmować.

Jeśli kto nie posiada pewności ręki i należytej wprawy, niech najlepiej zarysuje nasamprzód ostrym nożem linię cięcia, bo wtedy łatwiej i równo kość przerąbie. Lepiej kości za wiele urąbać przy rogach, niż za mało, boć nadłożyć, nadsztukować się już nie da. Przytem wystrzegać się należy — często popełnianego błędu, to jest, że obcina się za wiele tylnej czaszki, za mało zaś z przodu.

Co się tyczy wygotowywania — to chyba najmniejsze nie powinnyby się nasuwać trudności. Pilnie tylko wystrzegać się należy dodawania sody, która stanowczo szkodliwie działa. Inne rzeczy, jak wygładzanie, polerowanie, jest tak łatwe i proste, że niema potrzeby przypominać tu znanych wskazówek i sposobów.

Zwierzyna stepowa.

(Dokończenie).

Przenieśmy się teraz myślą w rozległe, jak ocean, preryе Ameryki północnej. Tam także motyle igrają w słońcu, jaszczurki szeleszczą w trawie, wszystko czystem oddycha życiem.

Oto, przesunął się złowrogi grzechotnik, grzechotką daje słyszeć o sobie, i znikł pod ziemią, gdzie są mieszkania *świstaków* amerykańskich, zwanych pieskami stepowymi. Ot, niedaleko na kopczyku siadł jeden z nich. Poszczekiwaniem oznajmia towarzyszom, że nic nie grozi. Coraz więcej świstaków wychyla się z nor i niedługo cały step drga życiem. Małe te gryzonie żywią się roślinami, a ziemię przesypiają. Dziwnem jest, iż zezwalają we własnej norze, mieszkać grzechotnikowi, który nieraz pożera bezbronne zwierzątka. Z gościnności piesków korzysta także mała *sówka* ziemna „wnorka“, żyjąc z nimi w zgodzie.

Spojrzyjmy po preryi: tam w dali przebiegają smukłe, bystre *antylopy*, jedna z nich kulejąca, prędko stanie się łupem wilków; trwożnie obraca piękną główkę, zdobną rogami rozwidlonymi; jasno-brunatny jej grzbiet ładnie odbija od białego spodu ciała. To *kabri*, zwana też antylopą widlastą. Ale uwagę naszą najbardziej zajęłyby potężne *żubry* amerykańskie — *bizony*. Wielki ten zwierz, o dużej, grubej głowie z krótkimi rogami, mocnych nogach, wysokim, silnym karku i dużo węższym i słabszym tyle — wspaniale wygląda! Przód ciała ma pokryty bujną grzywą, z pod kudłów patrzą dzikie oczy. Wydaje się, że cała siła żubra spoczywa w przedniej części ciała. Dawniej bizony były bardzo liczne w Ameryce, teraz przy nieoględnem na nie polowaniu Indyan i wobec coraz dalej w stepy posuwającej się cywilizacyi, są na wygaśnięciu. W parku narodowym amerykańskim, Yellowstone chroni się ich kilkaset sztuk pod opieką rządu; pozatem bardzo nieliczne gromady na preryach. Bizony żyją stadami pod wodzą starszego byka, ufne w swą siłę, nie boją się nawet wilków. Stadami także żyją zdziczałe konie, zwane *mustangami;* pochodzą one od przywiezionych przez Hiszpanów do Ameryki swojskich koni; ongi potomki ich zdziczały i rozmnożyły się na stepach. Są to zgrabne, różnej maści, szybkonogie bieguny. Indyanie chwytają je i oswajają; przy pomocy tych latawców przebiegają preryе, polując na bizony. Mustangi są bardzo płochliwe, czasem całe stado gna bez celu, otumanione trwogą.

Popatrzmy, jak odbywają się łowy na mustangi. Kilku jeźdźców podkrada się ostrożnie pod stado, pasące się spokojnie. Konie zwietrzyły ich i osrzegają się rżeniem. Ale oto łowcy puszczają cwałem swe, przyuczone do łowów, wierzchowce i gonią rozpierzchłe, uciekające stado. Jedni z jeźdźców zarzucają arkan, czyli lasso, a gdy pętla otoczyła już szyję mustanga, zwracają raptownie swego wierzchowca w przeciwną stronę i pędzą cwałem. Pętla mocno się zaciąga, a pęd obala przyduszone zwierzę na ziemię. Inni łowcy rzucają bolasem t. j. rzemieniami złączonymi i zakończonymi ciężkiemi kulami. Bolas rozbujany ruchem obrotowym okręca, dzięki kulom, i krępuje silnie nogi upatrzonego bieguna. Następnie jeźdźcy dosiadają złowionych koni. Mustangi się zżymają, starają zrzucić poskramiacza, wierzgają i stają dęba. Wszystko napróżno, jeśli jeździec wytrawny. Po dłuższej walce konie zmęczone poddają się losowi, całkiem ujarzmione. Niekiedy jednak nic ich dzikości nie może przełamać i te trzeba wypuścić na wolność. Mustangi mają zwyczaj zwabiania do siebie koni swojskich, a te często zrywają uzdy i uciekają do stada.

Za stadami włóczą się gromady *wilków* stepowych, których jest kilka odmian. Jedną z nich, mniejszą wzrostem, jest kujot; ma on ogon puszysty, jak nasz lis, i piękne bronzowe futro. Jest bardzo uprzykrzony, choć tchórzliwy. Ściga gromadnie skaleczone, lub samotne zwie-

rzęta. Często jednak zdobyty łup odbiera mu wilk większy.

Na pampasach argentyńskich, prócz zdziczałych koni, z godniejszych uwagi zwierząt, żyją gromady *strusi* amerykańskich. Duży ten ptak, zwany nandu, lub rea, jest mniejszy od strusia afrykańskiego. Upierzenie ma brunatno-szarawe, a pióra jego, choć dużo brzydsze od strusich, są cenione w handlu. Biega rączo na swych wysokich, o trzech palcach nogach. Rodzinę tworzy samiec i 6—8 samic. Gniazdo wygrzebuje w ziemi samiec i wyściela własnemi piórami, poczem samice kolejno składają jaja, duże, o zawartości około 12 jaj kurzych. Wysiadywaniem, oraz wychowaniem młodych także się samiec zajmuje. Reę spotyka się też na płaskowzgórzach Patagonii. Często stadka nandu tworzą współkę z rodzajem tamtejszej *lamy*, zwanej guanako. Na pampasach bezgrzywy, amerykański *lew*, *puma*, stał się zwierzęciem stepowem i uprzykrzonym rabusiem.

Broń myśliwska przed 100 laty w Polsce.

(Ciąg dalszy).

O robieniu rur do fuzyi.

Gdy cała dobroć fuzyi zależy na tem, ażeby szrót ostro i gęsto rzucała, nie będzie miała zatem tej własności, kiedy żelazo przeznaczone na rury, nie będzie dostatecznie wyrobione i pozbawione od wszelkich obcych cząstek. Wielka liczba rzemieślników robiących fuzye w fabrykach, zaniedbuje tej głównej uwagi dla prędszego ich wygotowania: ztąd nie na wszystkich rurkach mamy dobre żelazo, nie wszystkie też dobrze biją. Dla poznania dobroci i gatunku żelaza, najpewniejszym jest środkiem zrobić nożem kreskę na niem: jeżeli ta jest równie głęboka w całej swej rozciągłości, znakiem jest, że żelazo wszędzie równie miękkie, a zatem i dobre.

Ze źle więc wyrobionego żelaza wynika, iż inne fuzye po wystrzale rozsiewać zaczynają, i szrót blizko na ziemię pada, tak, że często w czasie strzału o 20 kroków od stanowiska traci impet, i pada. Widzieć to nader wszystko można w porze zimowej na śniegu. Tej wady w fuzyi żaden z rzemieślników nie może poprawić: bo jak się już powiedziało, te błędy wzięły początek w fabrykach z nierówno ziarnistego i źle oczyszczonego żelaza, tudzież z mniej doskonałego prześwidrowania rury. Albowiem często daje się spostrzegać na fuzyach starych niejednostajna grubość, a szczególniej wylotu: co właśnie ma miejsce, gdy rura krzywo prześwidrowana.

Zdarza się, że niektóre fuzye biją lepiej szrótem grubszym, aniżeli cienkim; zależeć to może od ich rozmaitego kalibru, tudzież długości rury. Najlepsza broń ognista wymaga zawsze trafiania stosownej miary prochu i szrótu. Pomimo dochodzenia i kalkulacye matematyczne, najprostszy zdaje się sposób jej dobrania, rozpiąć na ścianie drewnianej arkusz papieru, nie dalej na kroków 40 lub 50. W pierwszym strzale dać nabój prochu takiej miary, jaka odpowiednia zdawać się będzie jego mocy i kalibrowi fuzyi: po wystrzale jeżeli trąci i szrót po przedmiocie rozrzuci, wówczas zmniejszyć miarę prochu, jako też i szrótu. Strzelanie to póty powtarzać, póki bez trącenia fuzyi szrót głęboko i gęsto nie utkwi w drzewie. Za każdym wystrzałem odmienić wypada papier, jako i miejsce dla rozpięcia jego na ścianie. Jeżeli przy wystrzałach, więcej się znajdować będzie szrócin, w górze lub w którejkolwiek stronie papieru, co myśliwi górowaniem lub boczeniem fuzyi nazywają; natenczas opatrzyć należy, czy wylot równo urznięty: gdy ściana jedna będzie krótsza od drugiej, fuzya w większej obfitości szrót wyrzucać będzie. W takim razie, potrosze pilnikiem delikatnym spiłować stronę wyższą wylotu, i dalej sztrzelanie dla wynalezienia miary naboju powtarzać.

Niektórzy chcąc poprawić złe bicie fuzyi, dają wewnątrz rury w kształcie pomienionego sztućca, małe rówki czyli narznięcia w liniach prostych. Lecz to do polepszenia fuzyi mało co się przyczynia: albowiem rura ze złego żelaza zrobiona, z przerznięciami nawet źle strzelać będzie; jak przeciwnie bez narznięcia rura z miękkiego żelaza ukuta dobrze bije.

Każdy z myśliwych nabywający nową fuzyą, pilnie uważać powinien, czy nie ma rysowania się wzdłuż lub w poprzek rury, albo piętna w kształcie pęcherzyka. Gdy się okaże fuzya z podobnemi wadami, uważać ją należy za niezdatną i grożącą kiedykolwiek niebezpieczeństwem. Przeświadczono się też, że zarysowanie podłużne na rurze więcej staje się szkodliwe i prędkiemu podlega rozerwaniu się, niżeli poprzeczne: albowiem proch większą wywiera siłę na okrągłość, niżeli na długość rury. Jeżeli pomienione wady znajdą się na powierzchni rury, szpecą tylko na pozór, wewnętrzne zaś bywają szkodliwe. Jakkolwiek bądź, wilgoć wpadając w szczelinę niedokwasi rurę i do rychlejszego rozerwania ją uspasabia. Dla uniknięcia podobnych wad, rzemieślnicy przegotowujący żelazo do wyrobienia rury, powinni wprzód dobrze je zgęścić i nadać doskonałą spojność w najdrobniejszych cząstkach.

O fabrykach fuzyj.

Komuż dzielność bicia hiszpańskich fuzyj jest nieznana? Szczególny gatunek żelaza w Madrycie, jako też dobre jego wyrobienie, dostarcza dla myśliwych najlepszą broń ognistą. — Fabrykanci w prowincyach Katalonii i Biskai, chociaż znani z talentu swego, widząc jednak wszędzie upowszechnione fuzye Madryckie, jęli się pod tem nazwiskiem wydawania rozmaitej myśliwskiej broni; nigdy jednak do odpowiedniego celu Madryckim rzemieślnikom, jakimi są *Esquibella*, *Santossa*, *Gargassena* nie wyrównały. Dziś fuzye Madryckie nie fałszowane, z rąk tych znakomitych artystów rzadko się u nas znajdują, i to chyba po gabinetach.

Ci rzemieślnicy do wyrobienia obstalowanych fuzyj używali żelaza ze starych podków i gwoździ, spajali pierwej w sztabę za pomocą ognia i młota, a później ją rozcinali podłużnie na trzy części, z których każdą zosobna kując, zwijali w kształcie ślimakowatym w jeden cylinder, stosownie do grubości rury. Żelazo w tej robocie tyle razy przechodząc przez ogień i kowadło, było najlepiej zmasowane, i tak dalece oczyszczone, że z 50 funtów pozostawało tylko 6 lub 7.

Nie wiem, czy z tych fabryk wychodzą dubeltówki, nie zdarzyło się mnie albowiem nigdzie ich widzieć. Pojedyńcze zaś rozmaitej długości jako i kalibru bywają. Rury tych fuzyj są rozmaite, fugowane i gładkie, mające piękne wstęgowe lub strokate fladry. Powszechne są zasadne i więcej mają wagi od fuzyi wychodzących z fabryk Angielskich i Francuzkich.

Fuzye niegdyś mieszkańca Biskai, Lazara Kominazego były w wielu państwach sławne, które od imienia jego Lazarynkami nazywano. Te, choć rozmaitej bywały długości, zawsze jednak małego były kalibru. Nie sam nawet Kominazy wyrabiał rury: tylko on je doskonalił z największą akuratnością i upiękniał. Rozmaici fabrykanci z chciwości zysku naśladowali wszelkie przymioty pomienionych fuzyi, i pod jego imieniem ogłaszali. Teraz nawet *Lazarynki* niefałszowane rzadko gdzie się znajdują, chyba tylko w gabinetach królewskich. Za przymiot tych fuzyi, uważa się miękkość żelaza, cienkość ścian rury, które nie wiele przewyższają grubość karty do grania. Skrzyniowa rura prostować się może przez wieloraki wystrzał kulą wedle kalibru dobraną. Te w ogólności gęsto i ostro biją.

Za przekonaniem się, że powszechnie żelazo Biskajskie jest dobre i fuzye wyrabiane z niego są najlepsze,

Francuzcy rzemieślnicy zachęceni ogólną zaletą tych fuzyi używali żelaza Biskajskiego: nie mogli jednak dojść do zamierzonego celu. Mogli się oni nie porozumieć w wyrabianiu i dawaniu właściwego stopnia cieplika, dla tego, że Francuzi używają węgli ziemnych a Hiszpanie drewnianych. Jednak komuż nieznana dobroć fuzyj angielskich, którzy z żelaza Hiszpańskiego ziemnemi węglami wyrabiają, nie narzekając bynajmniej na żelazo, wydają do dziś dnia broń dobrą?

W fabrykach Francuzkich i Angielskich, gdy się na urząd, lub obstalowane robią fuzye dubeltowe, używają do tego żelaza Hiszpańskiego, szczególniej ze starych podków i gwoździ, z tego wyciągnięte sztabki na jeden albo na pół cala szerokie zwijają pierwej jedną za pomocą ognia i kowadła dobrze zmasują, na tę drugą albo i trzecią w kształcie ślimakowatym w cylinder, od czego noszą nazwisko *rurki wstęgowe* (canon à ruban) albo (canon tordu). Po dobrem i równem prześwidrowaniu wedle kalibru obstalowanego umieją upiększać w lekką i zgrabną osadę, jako też we wszelką oprawę do niej potrzebną. Fuzye te bywają lekkie i łatwe w przykładzie. Grubość ścian rury od wylotu, nie wiele bywa grubsza od karty; lecz żelazo w całej rozciągłości równo ziarniste i dobrze zmassowane, bez żadnych wewnątrz rury zadziorów, lub nierówności. Fuzye te wytrzymują kulą i szrutem tak dobrze, jak wszystkie inne fuzye z grubęmi ścianami.

Co do dubeltowych rur, po prześwidrowaniu opiłowują się do pożądnej grubości. Ściany, któremi się rury mają lutować jedna do drugiej, mają być płasko i równo spiłowane: póki obie szczelnie nie będą przystawały. Tak przygotowane rury umocowywają po końcach dla spojenia: co się nie wprzód dzieje, aż wierzchnie i dolne żelazko wedle długości rur w miejscu spojenia nie będzie przypuszczone szczelnie. Niemniej uważać należy, aby dubeltowe rury równego były kalibru i ściany jednostajnej grubości: albowiem działanie prochu równą wywierając siłę na wszystkie cząstki, i nie równy znajdując opór, pokonywałoby stronę słabszą. W miejscu spojenia ścian, rury tak mają być spiłowane, aby po złożeniu obie były równej grubości ze ścianą jedną.

Urządzenie celika przy końcu wylotu rury, mniejszej wymaga baczności niżeli u sztućca, który może być robiony z rozmaitego metalu. Zamiast celowników jak u sztućca, dają na kamerszrubie dołek żłobiasty, aby strzelający mógł pierwej rzucić nań okiem, a potem zastosować celik do przedmiotu zamierzonego.

W fabrykach Angielskich i Francuzkich robią fuzye dubeltowe, lekkie, a ztąd i ściany ich są cienkie: dla tego zamiast lutowania innym metalem, lutują cyną, jako potrzebującą najmniejszego stopnia ognia: bo jeśliby zamiast cyny użyto innego metalu, większego potrzeba byłoby ognia, a zatem rura cienka przez ogień niedokwaszając się, straciłyby na masie swojej.

Z tego względu przestali dawać kolor błękitny na rurach, szczególnie cienkich, lubo te również przez ogień niedokwasićby się mogły. Teraz używają natomiast kwasu siarczanego, nieco wodą rozlanego, którym pociągają rury, zamek i inne żelazne tudzież stalowe narzędzia, a później płatkiem z oliwą do suchości wycierają. Takowe czernienie tego metalu, dla oka strzelca najlepsze, blaskiem nie razi i żelaza nie psuje.

Niegdyś w Paryżu wychodziły z rąk sławnego *Barrueta* szczególnej mocy i kształtu fuzye. Chociaż ściany ich były grubsze od wszystkich innych rur; jednak na próbie po potrójnym wystrzale wielki nabój wytrzymywały. Do robienia pomienionych rur używał drutu żelaznego grubości wroniego pióra, na której wydrążony cylinder wedle pożądanego kalibru szczelnie nawijał i szczególniejszym sposobem przygotowanym aliażem utrzymywanym w sekrecie lutował. Po opiłowaniu zwyczajnem zewnątrz rury pomienionego spojenia, wnętrze cylindra szustem wygładzał i dalej jak zwykle w dokończeniu tej broni postępował.

Po zjawieniu się tych fuzyi było wielu ubiegających się, dla rzadkiej ich piękności i mocy, drogo też za nie przepłacano: lecz jak za życia swego mało ich wydał, tak po śmierci nie było więcej naśladowców. Dziś już ta broń po wielkich tylko gabinetach dla rzadkości utrzymuje się.

Fuzye Szwedzkie jednorurne nie tyle są zgrabne i zręczne, ile broń angielska i francuzka; bywają jednak dobre do kuli i szrótu, którym ostro i daleko biją.

Fabryka niemiecka posłuży dla naszych myśliwych za nieprzebrany magazyn rozmaitej ognistej broni. Ile się tam znajduje rzemieślników, tyle prawie mamy odmian w fuzyach do nas przychodzących, którym nadajemy rozmaite nazwiska np. *Grzbietówka, Damascenka, Kapucynka, Kasselka* i t. p. Po wielu fabrykach niemieckich, szczególniej w Dreznie pojedyńcze i dubeltowe fuzye dobrze biją. Te rozmaitego są kalibru, lecz więcej ich jest zasadnych ze ścianami grubemi. Wszystkie te w drżewo orzechowe zgrabnie są oprawione, i cały garnitur żelazny lub stalowy, a niekiedy rogowy, hebanowy, kształtnie jest urządzony.

(C. d. n.)

Łodzie motorowe a polowanie wodne.

W Szwecyi rozpoczęto agitacyę za ograniczeniem polowań wodnych za pomocą łodzi motorowych. Z inicyatywą wystąpił Szwedzki Związek Myśliwski, a rząd przygotowuje prawo odpowiednie.

W uzasadnieniu żądania ograniczeń lub zakazu całkowitego, wskazano na to, że uprawianie polowania na szybkich łodziach motorowych najnowszej konstrukcyi, tak zostało teraz rozpowszechnione śród ludów północnych, iż grozi zagładą wszelkiemu ptactwu wodnemu, gdyż wskutek nadzwyczajnych ulepszeń szybkość łodzi rywalizować niemal może z lotem ptaka. Stało się więc tak, że nawet wieśniacy, którzy nie uprawiali nigdy myślistwa, biorą się teraz do „zyskownego" tępienia ptaków wodnych przy pomocy łodzi motorowych.

Najbardziej zagrożone są z tego powodu ptaki, które budują gniazda. Oprócz wieśniaków, tępieniem ptactwa zajmują się różni amatorzy przyjezdni, kuracyusze nadmorscy, którzy przyjeżdżają z różnych stron świata, a nie mając nic do roboty, bawią się w strzelanie do mew, gęsi dzikich i t. d. z łodzi motorowych. „Rozrywkę" tę ułatwia fakt, że w Szwecyi dotychczas nie obowiązuje wykupywanie świadectwa myśliwskiego, ani nie potrzeba starać się o jakiekolwiek pozwolenie policyjne na polowanie. Wobec takich stosunków wytworzyła się tam powszechna „manja łowiecka", którą może wygubić doszczętnie ptactwo na wybrzeżu morskiem.

Jedyne szczęście stanowi to jeszcze, że ta pukanina z łodzi najbardziej jest rozpowszechniona tylko w porze letniej, a natomiast jesienią i na wiosnę, kiedy niema kuracyuszów morskich, panuje względny spokój. A są to pory ogromnie ważne, gdyż wtedy wskutek wędrówki ptaków zbiera ich się na wybrzeżu tysiące. Względnie mniej są narażone na niebezpieczeństwo wytępienia, ptaki, które odbywają lęgi w rejonach najwyższej północy, w Laplandyi, w tundrach fińskich i na Szpicbergu. Są także okręgi, gdzie stali mieszkańcy dbając o zwierzostan ptasi, sami ochraniają ptactwo i nie pozwalają go tępić bezmyślnie.

Jako przykład służyć może półwysep Sandve, gdzie, dzięki tym staraniom, przebywa wielkie mnóstwo najrozmaitszych ptaków wodnych, które przytem tak się tu dobrze czują, że wiele z tych gatunków, o ile zima nie jest tylko nazbyt dotkliwa, nie wędruje wcale na południe.

Przytaczając jeszcze motywy z dziedziny ekonomicznego gospodarstwa krajowego, Szwedzki Związek myśliwski w swym memoryale domaga się całkowitego zabronienia polowań z łodzi motorowych, uniemożliwiających wszelką ochronę. Rząd przyjął przychylnie memoryał i jest nadzieja, że parlament uchwali nowe prawo.

Poskramianie dzikich zwierząt.

(Dokończenie).

Nie można jednakowo tresować wszystkich zwierząt. Lew jest najwraźliwszym na łagodne traktowanie; nie jest on wcale złym z natury i można w nim wzbudzić uczucie wdzięczności, lwica przewyższa nawet pod tym względem samca. W Saint-Louis, u Bastocka, uratowała od napaści lwa pogromczynię, lwica, która rzuciła się na lwa i tym sposobem dała swej pani czas do ucieczki. Nie zawsze jednak, przy tresurze, można liczyć na inteligencyę lwicy. Tygrysowi, przedewszystkiem panterze, zupełnie są obce wszelkie szlachetniejsze uczucia i po pięciu lub sześciu latach potrafią one rozszarpać człowieka, który je karmi. Teroryzowanie ich za pomocą odwagi jest jedynym sposobem oddziaływania. Inaczej bywa z niedźwiedziem, który jest nadzwyczaj podatnym do tresury, sam chętnie wykonywa sztuki, toczy łapami beczkę po ziemi, lezie na drabinę i wesoło bawi się z pogromcą.

Jest snadź coś w głosie i we wzroku, co sprawia, że zwierzę jednego człowieka słucha, a drugiego nie. PogromcaEmmanuel, który dawał przedstawienia z pięcioma panterami w jednej klatce, był uposażony nadzwyczajnym darem poskramiania za pomocą głosu i wzroku. Rozkazywał głosem i giestem, a zwierzęta korzyły się pod jego wzrokiem. Ale biada takiemu pogromcy, gdy jedno ze zwierząt rzuci się na niego, wtedy bowiem wszystkie inne zwierzęta natychmiast przyłączą się do buntu. Tak samo bywa, gdy pogromca nadużyje trunku. Ledwie wejdzie do klatki, zwierzęta poznają, że jest pijany i już go żywym nie puszczą. Jeżeli wypadkiem uniknie wtedy śmierci, nie będzie mógł już nigdy poskromić swoich zwierząt; nie zapomną mu one tej chwili słabości.

Natężenie umysłu pogromcy nie może słabnąć nigdy, uwaga wciąż musi być baczna. Każdej chwili, nawet podczas karmienia, może się stać coś nieprzewidzianego. Szczególne niebezpieczeństwo grozi, gdy jedno ze zwierząt niespodzianie zacznie uciekać.

Zwykle po przedstawieniu otwiera się drzwi klatek i pozwala się zwierzętom używać swobodnie po kurytarzu spaceru, który jest koniecznym dla ich zdrowia. W wielkich menażeryach wprowadza się zwierzęta do umyślnie w tym celu zbudowanej, wielkiej klatki centralnej. Ileż przy tym sposobności do ucieczki i jak wielkie każdej chwili grozi ludziom niebezpieczeństwo!

Kapitan Bonavita pewnego razu przeprowadzał 26 lwów po kurytarzu, urządzonym wzdłuż tylnej klatki, gdy nagle lew nubijski Denver rzucił się na drugiego lwa. Natychmiast wszystkie 26 lwów rzuciły się jedne na drugie i rozpoczęła się straszna batalia. Bonavita z nigdy nie opuszczającą go zimną krwią i odwagą czynił nadludzkie wysiłki w celu uśmierzenia zbuntowanych zwierząt, porwawszy deskę, osłaniał się nią przez godzinę, jak tarczą, wyszedł jednak z walki z poszarpanem ubraniem i piersiami.

Pewnego dnia po drodze z Berna do Soloturnu jechał cyklista, podziwiając piękne krajobrazy. Naraz staje przed nim ogromna lwica. Naturalnie jeździec zaczyna uciekać całą siłą nóg, zwierzę jednak puszcza się w pogoń. Jakkolwiek z początku jeszcze znaczny dystans oddzielał go od lwicy, uczuł wkrótce, że go siły opuszczają i że za chwilę drapieżne stworzenie dogoni go i pożre, jak w środku Sahary. Na szczęście właściciel menażeryi, który udał się w pogoń za lwicą, celnym strzałem zabił zwierzę i tym sposobem zapobiegł strasznemu wypadkowi.

Innym razem w Birminghamie, w Anglii, na wielkim placu targowym, na którym znajdowała się menażerya Bostocka, rozeszła się pogłoska, że jeden z lwów wyrwał się z klatki i uciekł na miasto! I rzeczywiście, z otworu jednego z kanałów miejskich dochodził raz po raz straszny ryk zwierzęcia, powtarzany przez echa podziemne. Bostock, przestraszony, udał się do prefekta policyi i prosił o danie mu pomocy zbrojnej, wreszcie zdecydował się osobiście zaatakować lwa. Bojąc się, żeby zwierzę pierwszem uderzeniem łapy nie rozbiło mu czaszki, włożył na głowę kocioł... W decydującej chwili potknął się jednak, kocioł spadł na ziemię i zdawało się, że Bostock zgubiony; tymczasem, przeciwnie: lew przestraszywszy się brzękiem metalu, zaczął uciekać i wpadł do zastawionej pułapki.

Zawód pogromcy przechodzi z ojca na syna. Dziecko przyzwyczaja się do codziennego obcowania ze zwierzętami, bawi się z małemi lwiątkami, oswaja się z niebezpieczeństwem. Często w takich warunkach występuje powołanie nieprzezwyciężone, atawizm popycha syna do oddania się karyerze ojcowskiej. Tak było z Bostockiem. Ojciec jego, pogromca, chcąc oszczędzić synowi niebezpieczeństw, na jakie sam był narażony, postanowił zrobić ze swego potomka... pastora anglikańskiego. Bostock pozornie poddał się woli ojcowskiej, ukończył potrzebne nauki, w których nawet zdobywał nagrody; gdy jednak przyjechał na wakacye do domu, ojciec już na drugi dzień zastał go w lwiej klatce. Po takiem zdarzeniu już naturalnie mowy nie było o karyerze duchownej.

Główny pogromca Martin, jeden z pierwszych, którzy się zajmowali tresurą na początku zeszłego wieku, został pogromcą... z miłości. Będąc stajennym w cyrku, znalazł się pewnego razu na jarmarku w menażeryi, należącej do Van Ackena, który posiadał siostrę, zachwycającą dwudziestoletnią dziewczynę, będącą razem jego spólniczką.

Gdy odmówiono Martinowi ręki dziewczęcia, przyszła mu do głowy myśl genialna, mianowicie, zaprosił rodzinę Van Acken, do złożenia mu wizyty w klatce tygrysa. Sądzono, że to żart, gdy jednak zaproszeni goście nadeszli, zobaczyli istotnie Martina, gdy w klatce z uśmiechem głaskał tygrysa, pokornie liżącego mu ręce. Takie przedstawienie, dotąd nigdy jeszcze nie widziane, wydało się złotą żyłą dla menażeryi, wobec czego panna Van Acken oddała swą rączkę śmiałemu pogromcy.

Wystawa myśliwska.

Zapowiedziana na jesień 1910 roku w Wiedniu, międzynarodowa wystawa myśliwska o szerokim zakroju i charakterze prawdziwie internacyonalnym, bez zbytniej nawet, jak zwykle, przewagi lokalnej, — wywołuje powszechne zainteresowanie. Przygotowania przedwstępne już rozpoczęto. Na czele komitetu organizacyjnego stanęła osoba, pozostająca w blizkich stosunkach z dworem austryackim, Max Egon książę Fuerstenberg.

Czynione są starania, ażeby to była istotnie pierwszorzędna wystawa, zwłaszcza pod względem fachowo-technicznym, z uwzględnieniem strony przemysłowo-handlowej, krajowej i zagranicznej. Uwydatnione też zostanie znaczenie ekonomiczno-państwowe myślistwa.

Celem ułatwienia przeglądu i oryentowania się na wystawie, utworzono podział na grupy, jak polowanie na grubą zwierzynę, polowanie na drobną zwierzynę, polowanie wodne, polowanie górskie i t. d., przedstawiając wszędzie wzorowe okazy i modele.

Pozatem będzie podział na państwa i narody. Zpierwszych obiecały już wszechstronny swój udział: Stany Zjednoczone Ameryki północnej, Anglia, Francya, Włochy, Hiszpania, Rosya, Dania i Grecya.

Dalej będzie dział historyczno-retrospektywny, zbiory trofeów wszelkich czasów i narodów. Liczą tutaj szczególnie na obesłanie wystawy trofeami wszystkich dworów europejskich.

Będzie też osobny dział wynalazków, mających łączność z myślistwem; praktyczne zastosowanie samochodów do myślistwa, a nawet znaczenie żeglugi napowietrznej w polowaniu. Dalej, w oddzielnym pawilonie znajdzie się literatura myśliwska we wszystkich językach,

sztuka i przemysł artystyczny w zastosowaniu do łowiectwa.

Pozatem będą różne rozrywki na tle myślistwa, a więc konkursy strzeleckie, wyścigi koni myśliwskich, wzorowa naganka, menażerya, wystawa psów, field-triale i t. d.

Co się tyczy obrotów handlowych, na wystawie uczyniono zastrzeżenie, że można tylko zawierać akty kupna i sprzedaży, wszelkie zaś okazy wystawione, muszą pozostać do chwili zamknięcia wystawy.

Wykazy myśliwskie.

W dobrach księstwa Pless na Szlązku zabito od d. 1 kwietnia 1907 roku do dnia 1 kwietnia roku bieżącego:

A) *Zwierzyny użytecznej*: 2 żubry, 80 jeleni byków, 67 łań, 65 cieląt; 40 danieli, 136 danielic, 8 cieląt; 191 kozłów, 246 sarn; kóz, 6 koźląt; 7 odyńców, 23 macior, 8 przelatków, 54 warchlaków, 4201 zajęcy, 2841 królików, 69 cietrzewi, 6295 bażantów, 316 słonek, 58 bekasów, 1542 kuropatw, 1683 dzikich kaczek, 2 dzikie gęsi, 953 różnych. Razem 18,906 sztuk.

B) *Drapieżników:* 154 lisów, 41 kun, 2 borsuki, 458 tchórzów, 951 łasic, 197 wiewiórek, 366 psów, 810 kotów, 4 orły, 30 sokołów, 22 czapli, 97 bocianów, 2069 wron i srok, 320 większych ptaków drapieżnych, 1003 małych, 370 różnych. Razem 6894 sztuk.

Ogółem sztuk 25.800

W rewirach wielkiego księcia Heskiego zabito w sezonie 1907/8: danieli 170, dzika 1, sarn: 54 kozłów, 26 kóz; 2578 zajęcy, 2310 królików, 4 głuszce, 2960 bażantów, 1241 kuropatw, 31 słonek, 298 kaczek, 91 lisów, 1 borsuka, 18 kun, 62 tchórzy, 175 łasic, 23 czapli, 261 różnych ptaków drapieżnych, 14 srok, 1077 wron i kruków, 501 dębosieków, 7 dzierżb, 778 wiewiórek, 74 psów, 256 kotów. Ogółem 13,011 sztuk.

Drobiazgi myśliwskie.

Kłusownik zabójcą. Dnia 22 maja r. b. strażnicy leśni gub. Piotrkowskiej Zawadzki, Szczygłowski i Rydel wyszli na skraj lasu łapać kłusowników. W pobliżu wsi Łęczno zauważyli oni przygotowane do łapania zwierza sieci, usiedli więc tam w oczekiwaniu na przybycie kłusownika. Jakoż około godz. 10 w nocy strażnicy dostrzegli postać ludzką, zbliżającą się coraz bardziej ku nim. Nieznajomy jednak w odległości kilkudziesięciu kroków od strażników zatrzymał się i ukrył wśród drzew. Strażnicy podzielili się na dwie części i poczęli z dwóch stron zbliżać się ku nieznajomemu. Kiedy Zawadzki i Szczygłowski zbliżyli się ku krzakom, kłusownik podniósł się i począł iść nie widząc widocznie strażników. W nieznajomym Szczygłowski poznał włościanina z Łęczna, Stanisława Palińskiego. Do idącego wciąż naprzód Palińskiego podskoczyli niespodzianie strażnicy Szczygłowski i Zawadzki i schwycili za dubeltówkę. W tej samej chwili rozległ się okrzyk strażnika Zawadzkiego: „ratujcie, on uderzył mnie nożem“, co usłyszawszy Szczygłowski, uderzył Palińskiego kolbą w głowę i dał sygnałowy wystrzał. Od uderzenia tego Paliński zwalił się na ziemię, przygniatając sobą strażnika Zawadzkiego. Na sygnał dany przez strażnika Szczygłowskiego zbiegli się pozostali strażnicy, przy których pomocy Palińskiego odciągnięto od Zawadzkiego. Jednocześnie ze strony wsi na pomoc Palińskiemu poczęli nadciągać włościanie; wobec przeważającej liczby włościan, strażnicy poczęli cofać się do lasu, przyczem ranny Zawadzki padł martwy. Palińskiego, jako winnego powyższego zajścia natychmiast aresztowano; stawiony przed sądem wojennym Paliński, został skazany na 4 lata rot aresztanckich.

Strzelanie do gołębi. Podczas tegorocznego jarmarku w Jarmolińcach, który zgromadził cztery razy więcej publiczności w porównaniu z rokiem ubiegłym, staraniem właściciela Jarmoliniec, Ksawerego hr. Orłowskiego, odbyły się dwudniowe wyścigi i strzelanie do gołębi.

Zagrożona puszcza. Puszcza Białowieska jest w poważnem niebezpieczeństwie. Drugi już raz z rzędu czyni straszliwe spustoszenia gąsiennica zwana „mniszka“. Gąsiennica ta, wczesną wiosną ledwie dostrzegalna, w czerwcu dosięga rozmiarów zwykłej gąsiennicy i jak szarańcza na pola, rzuca się chciwie na listowie drzew iglastych i objada je, pozostawiając tylko suche gałęzie. Drzewa oczywiście skutkiem tego zamierają. „Mniszka“ pojawiła się w r. z. na wiosnę w leśnictwie Swisłoczy, obecnie zaś zagrażać poczęła wielu innym jeszcze leśnictwom w puszczy. Miejsca nawiedzone przez „mniszkę“, wyglądają jak po pożarze; jak dotąd „mniszka“ pożera tylko szpilki jodłowe, i inne jednak drzewa nie są ubezpieczone przeciw pożarciu listowia. Z Petersburga delegowano specyalnego urzędnika do walki z „mniszką“; urzędnik ten już drugi rok obmyśla celowe po temu środki. Jak dotąd, walczono z „mniszką“, rozpalając nocami ogniska, do których zlatywały się motyle „mniszki“ i ginęły w płomieniach; smarowano też pnie drzew wkoło lepkiemi substancyami, by gąsiennice nie mogły wypełzać na wierzchołki; niewiele to wszakże pomaga. Obecnie mówią, iż trzeba będzie wyrąbać około 600 dziesięcin puszczy, by zniszczyć doszczętnie gąsienice mniszki.

Kieł mamuta na Wołyniu. W Równem, na gruntach ks. Lubomirskiego wykopano olbrzymi kieł mamuta. Przy nieostrożnem uderzeniu motyki, miejscami został on uszkodzony. Oddano go na przechowanie do muzeum etnograficzno-historycznego, założonego przy równieńskiem Tow., p. Edmunda Okęckiego, które zdobią różne cenne dary, przez ziemian z Wołynia i Podola ofiarowane.

W pazurach lwa. W ubiegłym miesiącu wydarzył się w bawiącym w Stanisławowie cyrku wypadek, który mógł tragiczny mieć koniec. Podczas karmienia lwów, które odbywa się w przegrodzie, zamkniętej wysokiemi sztachetami żelaznemi, wpuszczono po kolei lwy zamknięte w klatkach, a poskromicielka zwierząt, Marcela Prince, Szwajcarka, rozdzielała pomiędzy nie końskie mięso. Przez pomyłkę wypuszczono naraz dwa lwy, które ujrzawszy w rękach swojej żywicielki tylko jeden kawał mięsa, rzuciły się na żer i na poskromicielkę, przyczem jeden z lwów pokąsał ją w ramię i podrapał w lewą pierś i w lewą rękę. Poskromicielka, nie tracąc przytomności, wyskoczyła szybko za ogrodzenie i złapała się żelaznych sztachet, służba tymczasem, rzuciwszy żer rozwścieczonym lwom, stalowymi prętami wypędziła je napowrót do klatki.

Znamiona płciowe. Jako przyczynek do wyjaśnienia powstawania drugorzędnych znamion płciowych wyszła książka prof. Lannerea: „L'evolution des ornements sexuels“. Lannere nie uznaje teoryi doboru płciowego, sformułowanej przez Darwina. Wraz z Wallacem i większością biologów współczesnych nie wierzy, by wybór, dokonywany przez samicę, był oparty na poczuciu estetycznem. Drugorzędne znamiona płciowe (rogi, zabarwienia i t. d.) zawdzięczają swe powstanie przyczynie fizyologicznej: nadmiarowi sił samca. Zapas energii, który samica zużytkowuje na wytwarzanie licznych i niekiedy wielkich jaj i na pracę wylęgania,—przenosi się u samca na narządy, stające się charakterystycznemi dla jego płci. Cechy te utrzymują się skutkiem użyteczności: spełniają czynności bądź narzędzi (ostrogi, rogi), przeznaczanych do usuwania rywali, bądź bodźców, prowokujących samicę, bądź narządów obronnych przeciw drapieżcom (żywe barwy, olśniewające napastnika, śpiew ptaków, oddalający drapieżcę, jak „tamtam“ dzikich). Gdy samce odżywiają się gorzej od samic, lub gdy larwy ich są skąpiej żywione, — stają się identyczne z samicami pod względem ozdób zewnętrznych, a nawet są niekiedy mniej barwne i strojne.

Gdy samiec współpracuje z samicą (np. wysiaduje jaja) nadmiar jego energii zużywa się na pracę, — dymorfizm płciowy zostaje wówczas zredukowany do minimum, lub odwrócony. W sumie zatem: ozdoby płciowe samców są odpowiednikiem energetycznym znużenia macierzyńskiego samic.

Pochodzenie psów. Kwestya pochodzenia różnych psów leżała dotychczas zupełnie niezbadana. Wiedziano tylko, że małe rasy psów pochodzą od psa bagnowego *(canis palustris)*, małego pieska z młodszego okresu kamiennego, a psy owczarskie od psa z okresu bronzu. Ale już pochodzenie psów myśliwskich, t. zw. ogarów, jako potomków rasy bronzowej, nie było pewne, praszczurowie zaś dogów jamników i pudlów byli zupełnie nieznani. W ostatnich jednak czasach badania przyrodnika Noack'a doprowadziły do niezwykłych wyjaśnień w dziedzinie historyi psiego rozwoju. Wiadomo dzisiaj, że północno-zachodnia Afryka była niegdyś, w młodszym okresie kamiennym środowiskiem wysokiego kulturalnego życia, któremu nie brakło, jak to wskazują rysunki na skałach północno-afrykańskich, towarzyszów w postaci psów. Noack na podstawie tego przyszedł na myśl, czyby studya, nad prawie całkiem nieznanym psem domowym dzisiejszego Marokka, nie rzuciły jakiegoś światła na powstanie ras. I rzeczywiście, udało mu się na podstawie badań czaszek dowieść uderzającego pokrewieństwa między psem a szakalem i wilkiem. Za podstawę do tego twierdzenia służył fakt, że czaszka wilka, jak i szakala trzymanego w niewoli, w ciągu bardzo krótkiego czasu uległa rozstrzygającym zmianom, które czyniły te zwierzęta zupełnie podobnemi do pewnego gatunku psa marokańskiego. Zaprzestawszy niemożliwych dalej rozstrząsań anatomicznych, trzeba się zadowolić niezwykłymi rezultatami badań Noack'a. Przedhistorycznymi więc przodkami psa bagnowego i od niego pochodzących innych małych ras dzisiejszych czasów, były, do szakali podobne, dzikie psy. Przodkami wielkich ras n. p. dzisiejszych psów pasterskich, wywodzących się z psów epoki bronzowej, były indyjskie i środkowo syberyjskie wilki *(Canis pallipes)*. Gończego psa wywodzi Noack od psa *Canis simensis*, jedynego z psów dzikich, który posiada czaszkę wyraźnie psa gończego. Rozmaitość postaci u pojedyńczych ras i ich zboczenia od dzikich form plemiennych przypisuje Noack nieuniknionym następstwom oswajania psa przez ludzi i przeradzenia się psa dzikiego w zwierzę domowę.

* *

Sokoły. Czem się różni zwykły sokół od naszego?—Pospolity sokół pilnuje gniazda własnego i samicy, nasz zaś opuszcza gniazdo rodzinne dla ćwiczeń gimnastycznych na mieście.

* * *

— Co, pan, panie Antoni, w takim wieku, ojciec dorosłego syna, zapisałeś się na Sokoła. W jakim celu, na co to panu? — Mówiąc szczerze, chciałbym, aby mój syn mógł zapolować, jak za dawnych czasów, z sokołem... na dobry posag.

* * *

Zaczarowany zając. Pan na polowaniu zmierzył się do zająca. Huknął strzał, zwierzyna wywróciła koziołka. — Gajowy posłany dla przyniesienia trofeum, powraca i raportuje.—Proszę jaśnie pana, w tym zającu tkwi nieczysta siła. Leży zamieniony w cielę.

* * *

Bezpieczna broń. — Używasz w podróży starego i zardzewiałego rewolweru? Czy ta broń może ci zapewnić bezpieczeństwo? — Zupełnie. Jestem przynajmniej pewny, że mi w kieszeni nie wypali.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.)*.

Strzał.

Gdy Bóg dopuści, to i z kija strzał wypuści.
Prosty, jak strzał z rusznicy.

Strzała.

Bieży, jako strzała puszczona z cięciwy.
Prosty, jak strzała.

Strzelać.

Głośno strzela, choć nie trafi.
Nie najduje ten strzał w czas, który strzela na gęsty las.
Nie spudłuje ten na kocie, kto jaskółki strzela w locie.
Strzela bez prochu.
Strzelać, by w żubra.
Strzela, jak do tuza.
Strzela, jak Kurp.
Strzela, jak w pień.
Strzelają, jak na rezurekcyę.
Strzelił, a nie nabił.
Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.
Głupi, choć w łeb strzel.
Jako z rusznicy cudzym nabojem nie strzelać, tak na cudzego konia nie siadać.
Nie strzelaj prochem, kiedy możesz grochem.
Prosto, jak strzelił.
O św. Rochu strzelaj bez prochu.
Strzelać wilki makiem, łowić ryby przetakiem.
Kulawego do tańca, ślepego do strzelania, a pijanego do posyłek — nie używaj.

(C. d. n.).

Treść Nr. 17 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „**Drukarni Polskiej**" (**L. Straszewicza**). **Warszawa, Jasna 2.**